Nr. 39. We Lwowie dnia 30. września 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Jan Kasprowicz.

Z prologu na otwarcie Teatru miejskiego we Lwowie.

AKTOR (przed kurtyną).

Słów nam potrzeba wielkich i natchnionych,
by godnie uczcić tę dzisiejszą chwilę!
Lecz gdzie ich szukać, gdy mistrze potężni
dawno umilkli pod darnią zieloną,
lub pod wiązaniem kamiennych grobowców,
które na cześć ich wznosi podziw świata?
I oto stoję przed wami, bezradny,
z tą maską w ręku, symbolem mej sztuki,
i, na to świetne patrząc zgromadzenie,
nie wiem, jak witać mam przemożną Panią,
w ogniach tryumfu wkraczającą dzisiaj
do tej wspaniałej świątnicy... Czyż zakląć
bóstw olimpijskich skostniałe szeregi
by marmurowych zbawiwszy się chłodów,
przyszły tu pokłon oddać Zwyciężczyni?...
Próżny wysiłek i dziś już spóźniony!
Żaden Pigmaljon ciepłem pocałunków
życia w umarłych nie obudzi statuach;
muzy nie zejdą z frontów pałacowych,
a wódz ich, ongi tak jasny i dumny,
zagasł i zmalał wobec nowych kształtów,
które duch ludzki w swym wiecznym pochodzie
nie poprzestaje tworzyć z nieśmiertelnych
promieni Boga... Przebaczcie zuchwalstwu,
że zanim zabrzmią stąd czarowne słowa
liśćmi wawrzynu uwieńczonych piewców,
śmie, lutnię dzierżąc w niedołężnej dłoni,
pozbierać dźwięki z ich harf niezegranych
i łączy dźwięków tych milknące echa
w nikłą i słabą uwerturę... Jedno
chciejcie atoli wierzyć: miłość pieśni
i cześć bezbrzeżna dla wielkich jej twórców
srebrny wam księżyc zapali nad cichą,
senną polaną dziewiczego lasu,
który łyskliwa wyobraźnia ludu
zapełnia tłumem uroczych rusałek.
Śród nich na własne zobaczycie oczy,
jak się objawia potęga tej pieśni —
która niech będzie u nas w czci i chwale
na wieki wieków: — jak przemienia serce,
choćby najprostsze i najrubaszniejsze,
w czerwcowych wiewów grające narzędzie,
i jakie wokół wskrzesza bohaterstwo
i jakie blaski i jakie zarysy
nadaje ciemnym, gdzieś w głębiach natury
drzemiącym siłom, budząc je do życia...
Cień Ajschylosa przemknie wam z daleka,
albo też migną w odbiciu swych ogni
Szekspir i Goethe wraz z błyskawicowym
i roztęczonym Słowackim, i inni,
co zanurzywszy się w bezbrzeżną topiel
duszy człowieka, umieli w niej złowić
wiekuistości niezmienne pierwiastki
i zdumionemu pokazać je światu...
Pobłażliwymi bądźcie, gdy spełnienie
nie idzie razem z chęcią i zamiarem,
jeśli nie godnem jest tego przybytku
i tego koła wybranych słuchaczy.
A nam, chodzącym w masce cudzych uczuć
i cudzych myśli, nam, co na tych deskach
pozostawiamy całą swą istotę,
okażcie względy i dzisiaj i nadal.
Podnieśmy zasłonę —
niechaj się pocznie hołd, składany sztuce.

* *
*

SCENA IV.

Błędne ogniki, Panny leśne: Kalina, Muszka, Jętka, Pszczółka Lilla, Róża.

Jeden z błędnych ogników.

A tośmy ludzi nawodziły!

Kalina (która wraz z innemi nieco trwożliwie zjawia się na polanie.)

Ja, wiecie lubię tumanić.

Muszka (przy cichym akompaniamencie orkiestry).
Ja bo sobie dziewczę jestem
jak ten cichy wiew:
gonić wolę za poszumem
rozmarzonych drzew.
Nie chcę ludziom patrzeć w oczy,
męczy mnie ich świat,
rada jestem księżycowi,
tak jak on mi rad.
Pszczółka, motyl, szmer źródełka
i ta leśna woń
to ma rozkosz, to me życie,
za tem, serce, goń!

(Przewija się w tańcu)

Dalej w tany, drużki moje,
dalej za mną w ślad:
rade bądźmy księżycowi,
tak jak on nam rad!

Panny leśne (wiążąc się w koło, chórem)

Rade bądźmy księżycowi,
tak jak on nam rad!
Czem są dla nas ludzkie oczy
i czem ludzki świat.

Jętka.

Porzuć smutek, siostro Lillo,
i chodź z nami w tan,
Kwiat paproci tu się złoci,
świeżą rosą zlan.

Lilla.

Rzucam smutek i tęsknicę,
idę z wami w tan,
kwiat paproci gdzieś się złoci...

Kalina

Cicho!
Widzicie siostrę Różę?
Zbliża się ku nam w purpurze,
ciemnej, jak ogień piekielny.

Muszka.

Zakłóci czas nam weselny,
czas nam radosny zakłóci.

Jętka.

Może gdzieindziej zwróci
ten swój poważny krok!..
Nie dla niej nasza polana,
nie dla niej nasze zabawy!

Lilla.

Nieprzejednana!

Jeden z błędnych ogników.

Patrzcie, jak gną się trawy
pod jej stopami!
Patrzcie, jak listki zadrżały
na tej leszczynie!
jak ten jelonek mały
skrył się pod krzew jałowcowy!

Muszka.

Źle będzie z nami.

Pszczółka.

Ja się niczego nie boję.

Jętka.

Nie trwożne i serce moje.

Kalina (do widzialnej już Róży, schodzącej od szczytu po turniach).

Co ci też przyszło do głowy?
czy może zwabił tu ciebie
ten jasny księżyc na niebie,
co jasne światło swe roni
na kwiaty, skąpane w woni?

Róża.

Przychodzę obudzić ziemię!

Muszka.

W takiej godzinie,
kiedy te świerki i jodły
w blady się pomrok zasnuły?
Gdy nocy wilgotne brzemię
przygniata zioła?
Hej! do naszego tu koła
cóż to za myśli cię wiodły?
Jakiż to zamiar nieczuły
zagnał cię tutaj na skrzydłach powiewu?

Jętka.

Lepiej wraz z nami chodź szukać paproci
co gdzieś w ukryciu się złoci,
albo się przyłącz do naszego śpiewu
i tańca!

Kalina.

Patrz! twoja siostra, ta biała i cicha,
co pije rosę z liliji kielicha,
swojego smętku nie baczy
ni swej tęsknicy
i śród naszego ochoci się grona!

Róża.

Ona-ć do lutni stworzona
i korowodu!
A mnie od młodu
dawano w rękę pochodnię i miecz!
Lillo!... czy widzisz tę łunę,
rozlewającą się płomienną rzeką
ponad strzelisty ten szczyt?

Lilla.

To pewnie zorza poranna,
zwiastunka dnia błękitnego!

Muszka.

Spieszmy się szukać paproci!

Róża.

To dom się nasz pali!
Przyszedł odwieczny wróg,
rozbił kamienny mur,
ogień podłożył pod wielki nasz gród,
na ludzie naszym krwawą spełnił rzeź,
a ojca nam rzucił w loch,
pomiędzy węże go rzucił,
by mu ze zgrozy

ostatni pobielał włos
i aby tego królewskiego starca,
który nam życie dał,
straszliwy uśmiercił głód.
Idź! ratuj! idź!...

Lilla.

Czemże ratować go mam,
ja, com od młodu
do słodkiej lutni przywykła
i korowodu?...
...Dźwiękami gady ugłaszczę,
że wić się będą naokół mych rąk
i, zasłuchane w me pieśni,
dadzą wytchnienie memu rodzicowi.
A spiesząc ku wieży,
lilij nazbieram nad cudowną rzeką
i oną rosą pożywną,
świecącą na dnie ich kielicha,
karmić go będę, ja córka,
godna naszego rycerskiego ojca,
chociażem tylko stworzona do lutni
i korowodu.
Poić go będę i karmić tą świętą,
tą białą rosą tych niewinnych lilij,
aby przetrzymał cios
i dożył chwały zbawienia.

Róża.

A mnie od młodu
dawano w rękę pochodnię i miecz.
Pochodnią ziemię obudzę i mieczem!
Na wszystkich krańcach pozapalam stosy
i płomieniami znaczyć będę drogę
pomsty!...
Pod stopy mojemi
walić się będą z trzaskiem dęby stare
o płoniejących wierzchołkach!
W posadach swoich zatrzęsą się skały
i pośród huku piorunów
i wycia burz
rozżagwionymi sypną kamieniami
na wroga ludu Wenedów!
Od tysiąclecia uśpionych rycerzy
zbudzę z ich ciemnych, granitowych łożnic...
W tę noc świętojańską
zakwitaj moja paproci!
Pokryj się niebo miesięczne
czarną powałą chmur!
Zahuczcie grzmoty!
Bijcie pioruny!
A wy, rycerze odwieczni,
wstańcie! wstańcie! wstańcie!

(Chmury, grzmoty, pioruny. Z groty w turni obok wychodzą: Śpiący rycerze).

Jeden z śpiących rycerzy.

Kto nas budził? czy nadszedł już czas?

Róża.

Mój miecz was zbudził i moja pochodnia!
Pohańbion Wenedów lud!

(Przez scenę przebiega *Rycerz* obcego autoramentu).

Rycerz.

Konia! Królestwo za konia!

Róża.

Pędź! giń! za tobą idzie pomsta boża!
z podbojuś wyrósł i z podboju giń!
Uderzcie w surmy! za mną! za mną! za mną!

(Surmy w takt pieśni bojowej).

(*Rycerze śpiący* idą za Różą, śpiewając „Boga-Rodzica“. Pieśń wraz z odgłosem surm i grzmotów gaśnie za sceną).

BOLESŁAW LIMANOWSKI.

3)

Dynamika społeczna

(Historjozofja).

Zapasy ze zwierzętami, niepokój i obawa nieustanna o życie, myśl zaprzątnięta wyszukaniem pożywienia, wyrabiały dziki, surowy, egoistyczny charakter*). Byt pasterski, czyniąc życie pewniejszem, niewątpliwie wpływał na złagodzenie charakteru i obyczajów. Codzienne ściganie zwierząt ustępowało więcej pokojowemu życiu. W uczuciach i myślach zapanowała — można powiedzieć — także większa spokojność. Wzmagało się altruistyczne uczucie przywiązania, skutkiem czego stosunki płciowe ustalały się i rodzina przybierała coraz wyraźniejsze kształty. Myśl stawała się mniej pierzchliwą i człowiek łatwiej i dłużej mógł skupić swoją uwagę na pewnym przedmiocie, co stanowi niezbędny warunek rozwoju umysłowego. Większa różnorodność zajęć wymagała pewnego podziału i organizacji pracy. Potrzeba obrony swego mienia przed napadami dzikich plemion skłoniła do ściślejszej łączności pomiędzy spółkrewne-

*) Zwrócono uwagę, że niektóre plemiona dzikie zalecają się szczerością, pracowitością i dobrocią. Bardzo trafne w tym względzie są uwagi Tylora. La civilisation primitive par Edouard B. Tylor. Francuskie tłum. Pauliny Brunet. Paris, 1876. Str. 33 i następne.

mi rodami. Jeden z pierwszych historjozofów, Szwajcar Izaak Iselin (1728—1782), przedstawił okres pasterski jako prawdziwą sielankę, prawdopodobnie mając na oku życie pasterskie w ojczystym swym kraju*). Oczywiście sielanką nie było pierwotne życie pasterskie, ale w stosunku do okresu myśliwsko-łowieckiego możnaby je za takową uważać.

Dzieje świadczą, że ludy znane jako rolnicze były w poprzedniej dobie pasterskiemi, zwłaszcza daje się to powiedzieć o dwóch szczepach, semickim i aryjskim, które wysunęły się na same czoło w pochodzie postępowym ludzkości. Daje to podstawę do wniosku, że byt rolniczy w rozwoju dziejowym jest późniejszy od bytu pasterskiego, jest wyższym szczeblem ewolucyjnym. Daje się to potwierdzić i drogą rozumowania, albowiem zajęcia rolnicze obliczone być muszą na dłuższy przeciąg czasu, a więc wymagają z jednej strony o tyle już posuniętego rozwoju umysłowości, że ogarnia ona odleglejsze następstwa, a z drugiej strony dłuższego pozostawania w jednem miejscu, co jest także oznaką większego ustalania się życia społecznego. Tam nawet, gdzie życie pasterskie, z braku odpowiednich zwierząt, nie mogło się rozwinąć, ludzkość zanim zaczęła uprawiać ziemię, oswoiła już była niektóre zwierzęta. Wiemy, że w Meksyku i w Peru, za czasów przedkolumbowych, rolnictwo stało na dość wysokim stopniu rozwoju, ale już wówczas tam istniały państwa, a nadto wiemy, że były tam oswojone lamy, i że w Peru liczne stada onych chowano. W późniejszych czasach przykład sąsiadów mógł oddziaływać, i niektóre plemiona, wobec coraz większej trudności wyżywienia się z samego myślistwa, zaczęły się oddawać także pracy rolniczej. Lubbock wymienia Szerokiezów amerykańskich, którzy stali się rolnikami w 1825 r. Ważnym krokiem w rozwoju rolnictwa było zaprzągnięcie zwierząt do ciężkiej pracy rolniczej. Eschylos, zapewne na podstawie istniejących podań, przypisuje to wielkie odkrycie Prometeuszowi, który „był pierwszy, co bydło jukowe zaprzągł do jarzma, ażeby wyzwolić śmiertelników od prac najcięższych“. U afrykańskich ludów rolniczych jeszcze dzisiaj, zamiast zwierząt, niewolnicy i kobiety wykonywują najcięższe roboty rolnicze. Otóż, łatwo zrozumieć, że zastąpienie pracy ludzkiej zwierzęcą w uprawie ziemi wcześniej i powszechniej nastąpić mogło u tych ludów, co miały w rozwoju swego życia uwydatniony okres bytu pasterskiego.

W okresie myśliwsko-łowieckim przechodzenie hordy z miejsca na miejsce było zależne od zwierza, którego tropiono, za którym goniono; miało więc ono charakter przypadkowy, nieprawidłowy. Byt pasterski wprowadził już większą stałość i prawidłowość w życiu koczowniczem. Praca rolnicza, skłaniając do dłuższego pobytu na jednem miejscu, przyczyniała się do coraz większego ustalania się. Taki stan pośredni pomiędzy życiem koczowniczem i osiadłem widzimy jeszcze dzisiaj u ludów turkomańskich i u Kafrów w południowej Afryce; taki stan przedstawiają księgi Wedy u Indusów azjatyckich, Tacyt u Germanów. Takimi też koczowniczymi rolnikami byli burowie (Boers), chłopi holenderscy, kiedy w XVII. stuleciu w afrykańskim kraju Przylądkowym (Kapland) obejmowali ziemię w swe posiadanie. Ze wzrostem jednak ludności stawało się coraz trudniejszem prowadzenie koczowniczego rolnictwa, więc rody wytykały sobie granice zajętej już ziemi, ustalały się w jednej miejscowości, budowały osady. Germański *Gau* (powiat, okręg), słowiańskie *opole* początkowo nie były terminami geograficznymi, ale były rodami w granicach już pewnych ustalonymi. Jeżeli o rolnictwie mówimy że skłaniało ono do życia osiadłego, to również można powiedzieć i o życiu osiadłem, że podnosiło ono znaczenie rolnictwa, stawiało je na pierwszem miejscu, przyczyniało się do coraz większego udoskonalania sposobów wykonywania onego.

Rolnictwo, pomnażając ogromnie zasoby żywności, rozszerzając zakres czynności ludzkich i urozmaicając je, zmuszając do myślenia o przyszłości, zniewalając do gromadzenia i oszczędzania, czyniło walkę o byt łagodniejszą. Praca wytwórcza i organizacja gospodarcza, które w okresie myśliwsko-łowieckim zaledwie pojawiać się poczynały, w okresie pasterskim, a jeszcze bardziej w rolniczym doszły do wysokiego już stopnia rozwoju i czynnikowi ekonomicznemu nadały naczelne znaczenie. Skutkiem wzmagania się znaczenia pracy wytwórczej życie ludzkie także zyskuje na wartości. Kiedy hordom dzikich brak żywności daje się dotkliwie uczuwać, pierwszą ofiarą padają małe dziewczęta, co oznacza, że w przekonaniu dzikich życie kobiet ma małą użytkową wartość. U pasterskich ludów córka (ar. Duhatri, gr. Dygater, niem. Tochter) — jak wskazuje źródłosłów — staje się krowiarką, a więc użyteczną i potrzebną w organizacji gospodarczej. Ludy rolnicze przekonywują się, że korzystniejszem jest dla nich, zamiast tępienia obcoplemieńców, zaprzęganie tych ostatnich jako niewolników do znojnej pracy koło uprawy roli. Niewolnik wszakże w życiu koczowniczem nie tylko większą miewa sposobność do ucieczki, ale i nie przedstawia tyle korzyści, co w życiu osiadłem.

Z budowaniem stałych osad rozpoczęła się ważna nowa epoka w rozwoju całej ludzkości. Najwięcej skłonnymi do bytu osiadłego musiały okazać się te szczepy, które doszły do względnie najwyższego szczebla uspołecznienia. U progu pamięci dziejowej widzimy, że to ludy azjatyckie pastersko rolnicze, które następnie wciąż szły na czele rozwoju postępowego, nietylko w samej Azji rozpoczynają życie osiadłe, ale wkraczają do

*) Philosophische Muthmassungen über die Geschichte der Menschheit — 1764 r.

Egiptu*) i do Europy**), przyprowadzając z sobą stada bydła i przynosząc ziarna zbożowe. Z życiem osiadłem mnożą się i urozmaicają zajęcia; wówczas to zaczynają kształtować się i wyodrębniać rzemiosła. Różnoszczepowe plemiona, które w życiu koczowniczem wymijały się wzajemnie — że tak powiem — w życiu osiadłem zmuszone bywają do częstszego stykania się z sobą, a więc także i do krzyżowania się. Podania wszystkich ludów mówią o walkach z innymi ludami, jakie staczać musiały, kiedy ostatecznie usadawiały się w pewnych miejscowościach. Od najdawniejszych już czasów widzimy współistnienie różnych plemion w jednym kraju. Druidowie mieli już opowiadać Grekom, że od najdawniejszych czasów ludność Galji była trojaka, złożona z tubylców (autochtonów), początkowo w najzupełniejszej dzikości pozostających, oraz z plemion osiadłych w późniejszym czasie, z których jedne przybyły z wysp oceanu Atlantyckiego, drugie zaś z poza Renu. Wreszcie wnosząc z kopalnych czaszek, przybyłe do Europy plemiona aryjskie utonęły rasowo w licznej tubylczej tam ludności, chociaż kultura i mowa aryjska zwyciężyły.

Nie samo tylko rolnictwo skłaniało ludność do zakładania stałych siedzib, potężny także wpływ w tym kierunku wywierał na nią rozwój życia uczuciowego, rozwój przedewszystkiem uczucia przywiązania do tych miejsc, z któremi ją wiązały liczne wspomnienia. Oprócz materjalnego węzła, który utrzymywał człowieka przy ziemi, istniał jeszcze węzeł duchowy, religijny, który objawiał się w czci, oddawanej ziemi jako matce żywicielce, w czczeniu gór, rzek, gajów świętych. Ukształtowanie się uczuć i pojęć religijnych w pewną ogólniejszą całość, wyznawaną przez całe społeczeństwo, było już wynikiem długiej pracy duchowej i swoją koleją stało się potężnym czynnikiem w postępowym rozwoju ludzkości.

Trzeba przypuszczać, że był okres dzikości bezmyślnej, w którym żadne pojęcia, a więc i religijne, jeszcze nie istniały. Na wytworzenie się pojęć o świecie zewnętrzym wpływały uczucia, jako wcześniejsze w rozwoju duchowym i potężniejsze w swem działaniu. Najpotężniejszem uczuciem pomiędzy dzikiemi — jak świadczą o tem spostrzeżenia podróżników — jest uczucie przestrachu. Nietylko jest ono najpotężniejszem ale i najczęstszem. Wszystko nieznane, nieoczekiwane wzbudza przestrach w dzikim jako mogące być złem, groźnem, niebezpiecznem dla niego. Możnaby powiedzieć słowami Lubbock'a, że „nad głową dzikiego zawisła w kształcie gęstego obłoku bojaźń straszna przed złem nieznanem“. Wywołuje ona u dzikich jakieś nieokreślone wyobrażenie nieznanej, tajemniczej, groźnej potęgi. Takim musiał być pierwszy przejaw uczucia religijnego. Mały zasób wyobrażeń myślnych przeszkadzał przez długi czas nadać tej odczuwanej potędze tajemniczej jakiś kształt ucieleśniony, obrazowy; a następnie myśl pierzchliwa i zmienna dzikiego nie była w stanie ustalić tych kształtów i uczynić je wyrazistszemi. Możnaby powiedzieć, że każdy dziki miał własną swoją religję, która rozpryskiwała się w wielkiej rozmaitości kształtów. Takim był i jest fetyszyzm. Oczywiście, że uczucia egoistyczne, które niemal wyłącznie kierowały w życiu dzikich, musiały się odbijać także i w tem przedstawieniu, jakie sformowali oni o tajemniczych istotach, niewidzialnych dla oka, a jednak wszędzie obecnych i nieustannie czynnych. Istoty te w poczuciu dzikiego były złe, napastnicze, mściwe. Beżuanie, którzy pomiędzy dzikimi stałego lądu Afryki zajmują wysoki szczebel uspołecznienia, wyśmiewali misjonarzy chrześcijańskich, kiedy ci im mówili o bogu, miłującym ludzi.

Byt pasterski, który sprzyjał rozwojowi życia rodzinnego, przyczyniał się do ustalania i upodobniania uczuć religijnych w rodzinie i w rodzie. Tradycja rodzinna wytwarzała kult przodków, a rozwijająca się umysłowość ułatwiała dokładniejsze ocenianie potęg przyrody. Powstawał politeizm. W tym okresie wytworzony świat duchów okazywał już pewne uczucia altruistyczne, i z przeciwstawienia ich do duchów dawnych wytwarzał się ich podział na dobre i złe.

(C. d. n.)

*) Patrz — Histoire ancienne de l'Orient, jusqu'aux guerres médiques par François Lenormant. T. II. Paris, 1882. Str. 47.

**) G. Mortillet utrzymuje, że w Europie, a szczególnie we Francji, Belgji i Anglji, która prawdopodobnie stanowiła jeszcze część stałego lądu, istniała początkowo rasa długogłowa. W epoce kamienia wygładzanego, przybyła od wschodu nowa rasa podbojowa, rasa krótko, czyli okrągłogłowa, która przyprowadziła z sobą oswojone zwierzęta, przyniosła z sobą łuk, siekierę z kamienia wygładzonego, rolnictwo i grzebanie zmarłych.

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

Nazajutrz po południu Lamminger zaprosił gości swoich: pułkownika hrabiego Stempacha i młodego kapitana hrabiego z Freudenthalu do kancelarji zamkowej.

— Nie uspokoiliby się, dopóki choć skrawek pergaminu pozostałby w ich ręku — mówił Lamminger, ciągnąc dalej rozpoczętą rozmowę. — Posiadają dość przebiegłości, aby milczeć do czasu.

ale niech by jeno nadarzyła się sposobność... Nie znacie ich, panowie, nie możecie więc sobie wyobrazić, jaki to hardy, zacięty naród. Pamiętam, co się działo, gdy za nieboszczyka ojca kazano im broń odebrać. Nie chcieli za nic w świecie rozstać się ze staremi swemi strzelbami i pistoletami. Rozkazy, groźby, kary — wszystko było nadaremne...

— A jednak obchodzą się teraz bez broni — przywykli — zrobił ironiczną uwagę hrabia Stempach.

— Przywykli, ma się rozumieć. To samo będzie i z tymi pergaminami.

— Więc te chamy taką wojskową posiadały organizację? — zdziwił się kapitan.

— Owszem. Mieli nawet własną chorągiew i chorążego.

— Czy być może!

— Ów Chod olbrzymi, co przerastał na wójtowstwie wszystkich o głowę, to ich chorąży ostatni. On też chorągiew odniósł na zamek. Ukrywali ją długo, ale w końcu poszukiwania wykazały, że znajdują się w Ujeździe — jako i te dokumenty — u Przybków. Muszkieter, któregom wysłał po nią, wrócił z niczem, pod grozą dopiero kary surowej oddali sami. Niezwykłe to było widowisko, panowie! — Niósł ją rozwiniętą Przybek, ten olbrzym, a w ślad za nim przeciągnęła cała niemal wieś: stary jego ojciec, wójt, radni i wszyscy gazdowie. Poczet ów, to była straż honorowa sztandaru — mówił dalej pan Chodów, uśmiechając się zjadliwie. — A gdy oddano go tutaj, w kancelarji, stary Przybek głośnym wybuchnął płaczem, inni ocierali łzy ukradkiem...

— Jako starzy wojacy — szepnął pułkownik.

— I cóż się stało z ich chorągwią? — zapytał kapitan.

— Musi tu być kędyś między rupieciami. Rządca będzie wiedział... Chcielibyście może, panowie, ją obejrzeć? — pytał grzecznie Lamminger.

A gdy odpowiedzieli twierdząco, zadzwonił na rządcę, który wydostał chorągiew z poza wielkiej szafy z papierami i otrzepawszy ją w sieni z kurzu, przyniósł przed miłościwych panów.

— Drzewce silnie uszkodzone — objaśniał — Sama chorągiew była niegdyś z białej materji jedwabnej, czarną obwódką bramowanej. Teraz to już wszystko zżółkło, wyblakło, dziurami świeci.

— Ale te dziury to nie ślady starości, to rany zaszczytne na polach bitwy otrzymane! — rzekł pułkownik, oglądając uważnie przedarcia.

— A to ich godło: psia głowa!... — zawołał młody hrabia, wskazując haft wyblakły.

— Byczy łeb o wiele byłby dla nich właściwszy — zaśmiał się Lamminger. — Ale możebyśmy przystąpili już do rzeczy, panowie? — dodał, zwracając mowę do gości.

— Owszem, możemy zacząć — zgodził się pułkownik.

Lamminger skinął na rządcę, ten postawił chorągiew u ściany, nieopodal kominka, na którym płonął suty ogień i opuścił komnatę. Po chwili wrócił, ale nie sam. Towarzyszył mu kolega z Kęt i dwaj urzędnicy, a za tymi szli więźniowie.

Rządca, powiadomiony z góry o zamiarach pana, przyniósł szkatułę z dokumentami Chodów. Na widok „praw“ drogocennych stary Przybek i Kozina pobledli ze wzruszenia. Natomiast Maciej Przybek nie dostrzegł ich nawet w pierwszej chwili, nie mogąc oczu od chorągwi oderwać...

— Znacie ją — zaczął lodowatym głosem Lamminger, zwracając się ku Chodom. — Dokumenty znajdują się wewnątrz.

Rządca uchylił na te słowa wieko i jął wyjmować papiery, jeden po drugiem, aby wszyscy mogli je widzieć.

— Nie brakuje nic? — zapytał, patrząc na Sykę.

Temu powieki zatrzepotały.

— Nie chybia, miłościwy panie, przytwierdził głucho.

— A więc pożegnajcie się z nimi na wieki — rzekł tryumfująco rządca i odciąwszy nożycami pieczęcie, cisnął je w ogień, a za niemi po kolei wrzucał papiery. Ogień syczał, strzelał wyżej i chłonął śpiesznie rękojmie praw i swobód, które uznawał, któremi się rządził szereg pokoleń... Chodowie, którzy byli teraz świadkami ich niszczenia, nie korzystali — z wyjątkiem starego Przybka — z dobrodziejstw, przez nie zapewnionych: złota wolność znaną im była z opowieści jedynie, ale każdy z nich wierzył, że prawa do niej nie utracił i że rożdżką czarodziejską, co mu ją wróci kiedyś, staną się te właśnie stare papiery, po przodkach odziedziczone. I oto płomień pożerał je teraz... za chwilę w popiół się obrócą, a wraz z nimi zginie ostatnia nadzieja wyłamania się z pod hańbiącego jarzma!...

Lamminger przypatrywał się bacznie Chodom: a w zimnych jego źrenicach zapalały się płomyki szatańskiej radości. Rachuby go nie zawiodły, dopiął celu. Wczoraj jeszcze stawiali się hardo, gdy wojskiem i szubienicami groził. A teraz! Zgięły się twarde karki... Jak ponuro patrzą w fatalny płomień... Nawet ten olbrzym Przybek zmiękł... A Kozina? — Ha! — Bicie go nie złamało i ta scena widać nie łamie, jeżeli uśmiech rozchyla mu blade wargi — dumny, pogardliwy uśmiech! Ale odejdzie go wnet ochota do śmiechu, odejdzie!

Głęboka cisza, przerywana jedynie trzaskiem ognia, panowała w kancelarji podczas palenia dokumentów. Dopiero sięgając po ostatni już papier, rządca zwrócił się do Chodów z upomnieniem:

— Mam nadzieję, że teraz, kiedy w obecności wysoko urodzonych panów i urzędników szpargały wasze zostały zniszczone, nabędziecie rozumu i dacie spokój wszelkim powoływaniom się na ich treść...

Podniósł rękę, chcąc rzucić w ogień i ten ostatni dokument, lecz wstrzymał się, widząc, że Lamminger życzy sobie głos zabrać.

— Spełniajcież więc odtąd obowiązki wasze z należytem posłuszeństwem i pilnością, jak przystało na poddanych, abyście krnąbrnością doli swej nie pogorszyli — mówił ostro Lamminger. — Zrozumieliście już chyba teraz, że wszelki opór na nic się nie przyda...

Skinął — żółtawy pergamin mignął przed kominkiem i znikł w jego wnętrzu. Wtem stało się coś nieprzewidzianego. Chorągiew, oparta tuż o ścianę zsunęła się z wielkim hałasem, zaczepiła o kratę kominka i zawisła nad samym płomieniem. Ale jednocześnie prawie i Maciej Przybek rzucił się w tę stronę, aby ją ratować. Było jednak zapóźno. Jedwab się zatlił i gdy Przybek podniósł drzewce w górę, stanęła cała w ogniu...

Pokój napełnił się wnet dymem, który buchał z płomienistego znaku Chodów. Przybek, nie dając jeszcze za wygraną, próbował stłumić ogień rękami, ale i to nie pomogło. Chorągwiany jedwab spłonął jednak do szczętu. Pozostało jeno nagie drzewce. Nadaremnie prawą dłoń poparzył. Ale dobre i to, że sławny sztandar uległ zniszczeniu w jego rękach — nie będzie przynajmniej służył za pośmiewisko pańskim lokajom... Niespodziany pożar zakończył bolesną dla Chodów scenę...

Lamminger poprosił co rychlej gości o przejście do sąsiedniego pokoju, klnąc i rządcę i „wielkiego chama". Ale pułkownik wziął tego ostatniego w obronę, dowodząc, że w żyłach wiejskiego olbrzyma płynie dobra krew żołnierska i że gdyby ów był trochę młodszy, wziął by go chętnie do swego pułku, gdzie nie miał by z pewnością nikogo sobie równego.

W jakie pół godziny później obaj hrabiowie opuszczali wraz ze świtą zamek terhanowski, kierując się z powrotem ku Ujazdowi. A nad wieczorem tegoż dnia wypuszczono z arsenału uwięzionych Chodów. Ostatni przekroczył bramę zamkową stary Przybek, wspierając się na staroświeckiej swej ciupadze. Obok ojca postępował Maciej, niosąc na ramieniu drzewce chorągwi chodzkiej, które mu pozostawiono na drwiny. Gdy rządca terhanowski chciał mu je odebrać jeszcze w kancelarji, Kosz, kolega jego z Kęt, stanął po stronie Przybka.

— Zostaw, że mu ten goły kij — mówił śmiejąc się — niech ma przecie jakąś pamiątkę po wielkiej sławie minionej... Teraz, gdy wychodził z podwórza zamkowego, czeladź dworska naigrawała się z jego sztandaru. Słuchał tego spokojnie — ani jeden muskuł nie drgnął w kamiennej jego twarzy. A jeżeli patrzał w ziemię, nie ze wstydu to czynił, jeno przez ostrożność, aby widok pachołków pańskich nie podrażnił go bardziej jeszcze i nie zniewolił do pokarania za śmiech znieważający.

Wójt Syka, idąc obok Koziny, pozierał nań od czasu do czasu, jakby się spodziewał, że ten mu coś powie. Lecz młody gazda zdawał się nie rozumieć pytających jego spojrzeń. Smutny był to powrót. Nikt nie przemówił ani słowa przez całuteńką drogę, tylko stary Wachal jęknął raz jeden, jedyny:

— Tożto tera amen, amen, amen!...

C. d. n.

Tłum. M. Wysłouchowa.

CZUWAJ!

OPOWIADANIE MATYLDY SERAO

Z WŁOSKIEGO.

7)

PRZEKŁAD EUGENJI ŻMIJEWSKIEJ.

— Dobrześ pan zrobił. Czy rodzina często ich odwiedza?

— Bardzo rzadko. Mamy tu skazańców z odległych prowincyj, do których nikt się nie zgłasza. Mamy takich, którzy są z Neapolu, a jednak rodzina przypomina sobie o nich raz na pół roku zaledwie... Są inni jeszcze, którzy popełnili morderstwo we własnych rodzinach — no, tych, rzecz prosta, nikt nie odwiedza. Jeden naprzykład Rocco Traetta, przezwany Wiewiórką — który zabił rodzonego ojca — chłopak młody, spokojny, codziennie pisuje do matki, błagając ją, by go odwiedziła. Wszystkie jednak listy przechodzą przez moje ręce. Niektóre są poprostu wzruszające.

— Czy go matka odwiedziła?

— Nie odpowiada nawet na listy ojcobójcy.

— To dość naturalne — zauważył Piemontczyk.

— Ha! niewiadomo — odparł kapitan z zadumą. — Bywają matki tak dziwne, tak potworne w swojem uczuciu macierzyńskiem. Sądziłem, że przybędzie, a syn dotychczas jest tego pewien; przypuszcza, że listy giną; że jakieś obowiązki zatrzymują matkę w domu, albo że nie ma pieniędzy na drogę i ciągle jej się spodziewa.

— Czy on to opowiada panu?

— Nie, mojemu synkowi — odparł kapitan z uśmiechem.

— Temu maleńkiemu?

— Tak. Rocco wciąż się koło niego kręci, jest do niego przywiązany, jak pies.

— I pan pozwala swemu synkowi obcować z galernikiem?

— Czemużby nie? Znajduję, że trzeba obchodzić się z tymi przestępcami, jak z ludźmi i jak z chrześcijanami. Zresztą któżby skrzywdził dzieciątko niewinne? A takie obcowanie wyrabia w dziecku serce.

— Ma pan dziwne poglądy — odparł inspektor z uśmiechem niedowierzającym.

Stali u drzwi głównego gmachu. Dążyli do infirmerji, mieszczącej się na pierwszem piętrze. Na schodach spotkali galernika, niosącego szklanki i talerze.

— Używam ich do obsługi szpitala.

— Czy pan to znajdujesz pożytecznem?

— Oni się najlepiej rozumieją między sobą. Ciągła obecność dozorców drażni najspokojniejszych; więc oszczędzam jej chorym.

— W takich warunkach musisz pan mieć dużo chorób udanych?

— Istotnie bardzo dużo. Ale łatwo poznać, kto udaje; a gdy poznamy, to wypisujemy takiego natychmiast z infirmerji.

Szpital galerników składał się z dużych sali o czterech oknach, wychodzących na morze. Ściany były bielone wapnem, ale posłania wygodniejsze, niż dla zdrowych; zamiast zwyczajnych sienników, napchanych liśćmi kukurydzy, mieli cienkie materace wełniane.

W szpitalu było siedmiu chorych, leżeli cicho, zapatrzeni w morze. Jeden z nich żółty, chudy, odezwał się głosem omdlewającym:

— Na miłość Boską, panie dyrektorze, dajcie mi kawałek mięsa. Nie jadłem go tak dawno!

— Dostaniesz, jeżeli doktor pozwoli.

— Poproszę jeszcze o jedno. Niech pan dyrektor każe mnie przysunąć do okna, żebym mógł widzieć morze... Leżę do niego plecami i jest mi tak ciężko, tak smutno!...

Mówił głosem jękliwym, wzdychał, powtarzał jedno w kółko. Inni chorzy spoglądali na niego niecierpliwie. Inspektor, milczący, ponury, obchodził sypialnię, a galernik wciąż dyrektora o coś prosił, czegoś się domagał.

— Mój Boże! Niewolno nawet palić. Przy fajce, człowiek strawiłby prędzej ten ból przeklęty!

— Nie masz tytoniu? — spytał kapitan, którego cierpliwość była niewyczerpana.

— Któżby go dał takiemu biedakowi, jak ja? Gdyby moja żona żyła... Poczciwa to była dusza, ona zawsze myślała o mnie.

— Nie skarż się od rana do wieczora, nie lamentuj, a ja sam kupię ci tytoniu.

— Panie dyrektorze, czy ja nie mam o co się skarżyć? — mówił galernik tonem płaczliwym. — Pan dyrektor jest dobrym, ani słowa, ale życie psie. Proszę pana, czy to jest życie chrześcijańskie? Albo ten łańcuch: niewolno nam rozstać się z nim nawet, kiedy sam Bóg ukarze nas chorobą? O! te kajdany! Gdyby jaki anioł zeszedł z nieba i uwolnił mnie od ich ciężaru!

Na wzmiankę o kajdanach, z piersi tych wszystkich ludzi wyszło jedno głębokie westchnienie.

— Nudny jest, ale wciąż chory; to też robię mu pewne ustępstwa — mówił kapitan wychodząc z infermerji.

— Czy żona umarła mu niedawno? — pytał inspektor.

— On sam ją zabił. Nazywa się Ciccio. Miał sklep z cukrem lodowatym w Caserte. Do przekrawania brył cukrzanych używają ostrych siekierek. Tą siekierką odrąbał głowę swej żonie.

— Przez zazdrość?

— Tak, był zazdrosny o kaprala. Złapano go na zbrodni. Gdy się dowiedział, że żona umarła, płakał, jak dziecko. I dziś jeszcze ją opłakuje; woła, że jej przebacza, że chciałby jej oddać własne życie.

— Musi być nieznośny! — zakonkludował inspektor.

Szli powoli, w milczeniu. Dokoła panowała słodka cisza wieczorna; krótki dzień listopadowy był na schyłku. (C. d. n.)

Z pism i książek.

Ze studjów nad szkołą rosyjską w Polsce. R. Skrzycki. Jako pierwszy tom wydawnictw „Teki“ ukazała się znana z „Przeglądu Wszechpolskiego“ broszura, autor której, należąc sam do pokolenia, praktycznie obeznanego ze szkołą rosyjską w Królestwie pod rządami Apuchtina, w żywy i zajmujący sposób kreśli obraz panujących stosunków i wpływ ich na młodzież polską. Postacie „działaczów“ rosyjskich w roli dyrektorów i profesorów gimnazjalnych występują plastycznie i nakreślone są śmiałymi, pewnymi rzutami. Specjalną zaletą broszury jest duża doza gryzącej ironji i lekki, satyrą zabarwiony humor. Natomiast zauważyć się daje pewne przeładowanie „studjów“ materyałem anegdotycznym, nadającym zresztą cechę aktualności.

Z chłopskiej piersi. El. (Kazimierz Laskowski). Nakładem A. S. Dubowskiego w Warszawie wyszedł mały zbiorek wierszy, wybornie naśladujących śpiewki, używane przez lud w Krakowskiem, Sandomierskiem, i Opoczyńskiem. Wiersze odznaczają się właściwą p. Laskowskiemu znajomością ducha ludu, jego zwyczajów i obyczajów. Życzyć by tylko należało, aby zbiorek trafił „pod strzechy“. Zawiera bowiem dużo życia i ochoty do życia, nie zna tęsknych smutków i lirycznych wzruszeń, zato ma dużo energji i zdrowia.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.